



Maj 1897.

Uczcie dzieci czytać i pisać po polsku!

Rocznik XII.

Wniebowstąpienie Pańskie.

Łączmy dziś wraz z anioły głośną pieśń wesela,
A wzniosłszy się wysoko nad ziemię sercami,
Padnijmy w duchu wiary u stóp Zbawiciela,
Co po Bożej prawicy króluje nad nami.
Umęczony od grzesznych Boski Pan aniołów,
Dni czterdzieści na ziemi ciesząc swych wybranych,
Przelawszy swoje władzę w ręce Apostołów,
Sam wstąpił na niebiosy po mękach doznanych.
Ale jeszcze widomie pozostając z niemi,
Zaczem Go przed ich wzrokiem jasna skryła szata,
Przyrzekł im uroczystie pozostać na ziemi,
Z kościołem swoim świętym do skończenia świata.
I teraz wzięwszy losów człowieczeństwa szalę,
Okiem świętej opieki strzeże ludzkie plemię,
I przyjdzie kiedyś ztamtąd w niepojętej chwale,
Aby w dzień ostateczny sądzić całą ziemię.
O! wlećmy za Nim w niebo, unieśmy się duchem
Ponad ziemskie cierpienia i błędy manowce,
Abyśmy pogardziwszy cielesnym łańcuchem,
Biegli śladem pasterza jak posłuszne owce.
Z miłością Boga w sercu zdążajmy do ładu,
Kędy nas wszystkich czeka koniec ostateczny,
Byśmy nie usłyszeli w strasliwym dniu sądu:
„Nie znam was, o! przekleci idźcie w ogień wieczny!”
Niech każdy dar nam Boską udzielony ręką
Do uczuć nas wdzięczności i cnoty podnieci,
By Ten, który nam niebo okupił swą męką,
Mógł w niem kiedyś nas przyjąć jako dobre dzieci.

Dziesięcioro przykazań wychowania katolickiego.

(Ciąg dalszy.)

Okazuj dziecku dalej prawdziwe i szczere współczucie i czynną pomoc w smutku i boleści. Nie pozwól dziecku, jeśli je jakie nieszczęście spotkało, długo płakać i żale zawodzić; jeśli możesz, pomóż, albo pociesz przynajmniej, jeśli odmienić nie możesz. Wybij mu ból z głowy, zajmij je jaką zabawką, dodaj odwagi, zachęć do cierpliwości. Nie udawaj zaś wystraszonego, z lamentami własnymi nie przesadzaj boleści; bo to dziecko czyni lęklivem i zniewieściałem. Nie zapoznawaj go przedwcześnie z własnymi twoimi kłopotami, ani mu też w młodości nie zaprzętaj głowy twoją biedą. To ciebie nie zbawi, a dziecku nie pomoże; zamąci mu tylko twojami skargami jego piękną życia wiosnę. Nie bój się! Bóg i dziecku ześle mały krzyżyk; naucz je! — niechże go dźwiga z poddaniem chrześcijańskim, ale ten twój dla niego jeszcze za ciężki. — Lew, mój bracie, kiedy za żerem przebiega pustynie i lasy i bronić się musi przeciw napaśnikom, może być Bóg wie, jak srogi i ryczeć nie wiem, jak bardzo, skoro się jednak zbliży do swej jaskini, gdzie lwiatka swe pozostawił, staje się cichym i łagodnym i uspokojony do nich wchodzi. Chociażby ci nie wiem, jak wielkie kłopoty o wyżywienie dokuwały, chociażbyś w obejściu z ludźmi Bóg wie, jak wielkich był doznał nieprzyjemności, nie odbijaj twego złego humoru na dziecku, nie pokazuj mu złości, zagniewanej lub zrozwaznionej twarzy; bądź z obcą dziecku niewinnego łagodnym, wesołym i dobrej myśli!

Zjednywaj sobie serca swych dzieci otwartem i łagodnem się z niemi obchodzeniem. Nie dręcz ich fałszywymi domysłami i podejrzeniami n. p.: „Jak się was nie widzi, to robicie, co chcecie;” — „Bóg miły wie, coście wy tam znowu dokazywali;” — „Tobie ja-

koś źle z oczu patrzył! — „Ręczę, żeś mnie znów obełgał; formalnie, jakbyś się był przysięgł, ażeby mnie do żywego ugniewać! — Pamiętaj! to boli i może do wielkiej pobudzić niechęci. Tylko Bóże uchowaj! nie chwytaj się w obec dziecka podstępów, bo to się na tobie później łatwo odbić może. Nie dodawaj do rozkazów gorzkich uwag, do zakazów uszczypliwych przycinków, do nagany dwuznacznych wyrażań, do kary szyderstwa i uragowiska. — Zakazuj złego stanowczo, ale nie po grubiańsku, zachęcaj do dobrego serdecznie, ale nie w sposób pochlebny; w mowie bądź zawsze, choć stanowczym, ale przytem i łagodnym, głos twój niech będzie naturalny, nie słodziutki, ale za to serdeczny; postawa zaś pełna powagi i uszanowanie nakazującą, niech nigdy nie imponuje i przygnębia. Jeśli się tego, com ci tu powiedział, trzymać będziesz, bądź przekonany: powaga twoja dziecka nie przygnębi, a miłość nie spoufali; surowość twoja nie odstręczy, a pobłażliwość nie rozzuchwali; twój kłopot go nie zrani, a pieszczota nie przy'epi.

Miłości, której każdy dla siebie pragnie, nie możesz ni nauczyć, ni nakazać; miłość trzeba zdobyć i zasłużyć sobie na nią, można jednak tak kimś pokierować, że jakąś osobę polubi. Otóż rodzice w tym względzie nawzajem sobie w ręce pracować winni; ojciec powinien w dzieciach obudzić przywiązanie do matki, matka znowu wpajać w nie uszanowanie i cześć ojcu należną. Niech się żadne z nich nie przechwala z dobrodziejstwa, jakie dziecku w życiu wyświadczyło, ale natomiast niech każde z rodziców wiele i z przyciskiem mówi o miłości i dobrodziejstwach, kłopotach i troskach drugiego; niech przyzwyczają dziecko do wdzięczności, miłości i grzeczności ojcu lub matce należnej, niech je pouczą, do czego w obec ojca lub matki rano po odprowadzonym pacierzu, po powrocie ze szkoły lub z kądowną, przed udaniem się na spoczynek jest obowiązane; niech przypomni obowiązki modlitwy za ojca, za matkę, podczas podróży, choroby lub w innej jakie potrzebie. Tak to się uczy, mój bracie, prawdziwej, bezinteresownej miłości!

Bezbożną atoli przewrotnością nazywać trzeba, jeśli rodzic dziecko do siebie tylko przywiązać, a od drugiego odstręczyć się stara. — „Kogo ty bardziej kochasz, ojca czy matkę?“ — „Prawda, żeś ty mojem dzieckiem?“ — „Tatusz dziś zły, nie patrz na niego!“ — „Nie prawda, ty o matce nic nie chcesz wiedzieć?“ Takie i tym podobne głupie paplanie robi dziecko fałszywym, obłudnem i sprzedajnem, a niweczy dziecięce uszanowanie i miłość do obojga rodziców. Zaś grzechem jawnym jest, kiedy ojciec dzieci przeciwko matce albo na opak, buntuje; kiedy im błędy matki wyjawia, w obec nich ją lży, oskarża i dziecko sędzią robi pomiędzy sobą a matką. Smutna to rzecz, jeśli niezgoda i niepokój pomiędzy małżeństwem panują, ale szaleństwem po prostu, chcieć i dzieci także wciągnąć w to nieszczęście, bo to się później strasznie na rodzicach karze. I to błąd także nie mały, który nie pozostaje bez skutków, jeśli wymierzenie kary jedno drugiemu pozostawia. — „Poczekaj! niechno ojciec do domu przyjdzie, to ci zapłaci!“ — „A cóż mnie to obchodzi? to go sobie ukarzę, jeśli ci się tak podoba!“ — Na co to? niech każde z rodziców samo wymierza sprawiedliwość, jeśli złego było świadkiem. Zasłużona nauczka sprawiedliwa kara nie rozdrażnia nigdy, ale często bardzo wyrządza się niechęć w sercu ku temu, który się daje użyć do posługi nieczułego oprawcy.

Jeśli obecnie na zakończenie zbierzemy, cośmy

w obecnym i w dwóch poprzednich powiedzieli rozdziałach, to sztuka dobrego wychowania dzieci na następujących zasadach się regulach, przeciwko którym, lubo są tak proste, tyłu jednakże grzeszy:

1. Przystawaj prędko i z gotowością na rozsądne prośby dziecka, nie zważaj zaś wcale na głupie gadania i bzdurstwa; spokojnie, stanowczo i nieubłaganie opieraj się jego niesłusznym i upartym wymaganiom, sam zaś dla siebie wcześniej punktualnego i niezwłocznego wymagaj posłuszeństwa.

2. Życiem nienagannem i stanowczością powagi pełną, należytem zachowaniem się, beznamielnem, obmyślonem, nie za częstem, a zwięzłowatym rozkazowaniem ucz dziecko posłuszeństwa.

3. Oględnem, poświęcenia pełnem, współczuciem pokazującym i dobroczynnem, miłym i otwartem postępowaniem zdobywaj sobie miłość dziecka.

4. W celu wywarcia większego w tym kierunku wpływu, pielęgnuj małżeńską jedność, miłość i zgodne w domu pożycie.

A doczekasz się bezwątpienia Jego błogosławieństwa i cieszyć się będziesz posłusznymi dziećmi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

CÓRKA STAREMBERGA.

Opowieść historyczna z czasów oblężenia Wiednia przez Turków.

(Ciąg dalszy).

Niemcy przywykli do porządnego szyku bojowego, ujrawszy tę dziec, stracili w pierwszej chwili równowagę, ale trwało to tylko oka mgnienie. W jednej chwili otoczyli kolasę hrabianki jakby murem, zwróceniem plecami do powozu, a przodem do napastników. Wymierzili, strzały padły, kilku napastników stoczyło się z koni, ale z krzaków wyskoczyli równocześnie nowi jeźdźcy, jak jakie złe duchy. Chwycili oni noże w zęby, szable w ręce i z okrzykiem Ałlach! Ałlach! rzucili się na orszak hrabianki. Walka była tak nierówna, że o wydobyciu się z napaści ani marzyć było można, Niemcy wiedzieli o tem, ale postanowili nie ustąpić, choćby wszyscy poledz mieli. Co gorza, nie wiedzieli, jak walczyć z tym motłochem, który wrzeszczał, rzucał się, przyskakiwał, odskakiwał, zataczał kręgi i rozpryskał się, jak jakie zjadliwe osy lub baki. Aż tu naraz zaczęła ta czerń zarzucać na szyje walczących żołnierzy jakieś długie sznury, jakimi na stepach łowią dzikie zwierzęta, a zarzucali je tak zręcznie, że za każdym rzutem padał jakiś niemiecki żołnierz, nie wiedząc, co się z nimi dzieje.

Cała ta walka trwała zaledwie kilka minut. Szczupła garstka obrońców hrabianki poległa co do nogi, tych zaś, na których zarzucono arkany, związano i wycofano poza pole walki.

Przez cały ten czas Joanna stała, patrząc płonącym okiem na straszną walkę, z początku zbladła, a potem chwyciła za pistolet, który wyjeżdżając włożyła za pas, wystrzeliła zeń parę razy, a gdy nie stało naboju, gdy widziała, że nie ma ratunku, porwała w ręce sztylet i tak czekała napadu. Ale podczas gdy ona patrzyła przed siebie, uczuła, że ją coś szarpnęło z tyłu i upadła nieprzytomna na ziemię. To jeden z napastników zarzucił jej arkan na szyję i wywłókł ją z śro-

dka walczących, a nikt nie stanął w jej obronie, bo dokoła leżały tylko martwe ciała jej towarzyszy.

Teraz czerń rzuciła się na kolase, rozrąbała ją, szukając w niej kosztowności, a nie znalazłszy żadnej zdobyczy, porzucili na drodze wszystko, przywiązali, tylko do koni pochwytyanych na arkany żołnierzy i Joannę i kazali im biec przy sobie, a gdy oburzona hrabianka rzuciła się na ziemię i ani kroku postąpić nie chciała, zaczęto ją bić i zmuszać, aby biegła za koniem. Lecz ona położyła się na ziemię, bo wołała, aby ją konie strątały, wołała, aby jej głowa roztrzaskała się o kamienie, aniżeli, aby ona sama dostała się do jasyru, którego tak bardzo obawiał się dla niej jej ojciec.

Wtedy wlokący ją napastnik, obawiając się, że gdy mu zginie, to straci zysk, którego się spodziewał ze sprzedaży pięknej panny, rzucił ją na konia i straszeni ludzie jak nie wiedzieć skąd się pojawili, tak nie wiedząc gdzie znikli, jakby się w ziemię zapadli, a na drodze zostało tylko kilkadziesiąt trupów ludzi i koni, połamana kolasa i krwi przelanej ślady.

Długą chwilę Joanna była w stanie omdlenia, a gdy nareszcie otworzyła oczy i ujrzała nad sobą straszną twarz człowieka, który pochyliwszy się nad nią, popędzał konia, zemdliała na nowo.

Gdy wróciła jej częściowo przytomność, uczuła, że koń, na którym jechała, wstrzymał się w biegu, że ją jacyś ludzie wzięli na ręce, ponieśli i złożyli na wygodnym, miękkim pościu. Spojrzała w około i wydało się jej, że jest w jakimś zaczerwowanym pałacu. Wzięła przymknęła oczy i raz jeszcze otworzyła je szerzej, ale widzenie nie znikło. Była w jakiejś dziwnej komnacie, której ściany i sklepienie tworzyły pyszne jedwabne, złotem szyte, perłami i drogimi kamieniami ozdobione makaty. Podłogę zaścielały miękkie, przepyszne kobierce, kobiercami też nakryte były niskie sofy rozstawione pod ścianami i stoliki. Obok niej stali już nie owi straszni ludzie, co ją napadli, ale jacyś mężczyźni, podobni z ubrania i rysów twarzy do tego, który ją ucył po turecku.

Jeden z nich widocznie najdostojniejszy między nimi, zapytał:

— Cóż to za dziewczyna?

— Córka wodza Niemców.

— O! na Ałłaha! dobra zdobycz! Zkąd ją wzięliście?

— Jej ojciec chcąc ją schować w bezpiecznym miejscu, kazał ją wywieść do jakiegoś zamku w górach. Czambulik Tatarów wysłany przodem, napotkał garść Niemców, którzy ją wzięli, zmiotł ich, jak wiatr na pustyni zmiata piaski, a tobie panie, aby cie Ałłach wspierał, przywiódł tę dziewczynę i jeszcze jednego człowieka, którego można wypytać o stan Wiednia.

— Nie potrzeba — odparł dostojnik — wiem, że tam trwoga jest panem, a za dni kilkanaście na szczytach ich kościołów zatknijemy nasze chorągwie i półksiężyc.

Słyszając to Joanna, która tymczasem wróciła zupełnie do przytomności, zerwała się ze sofy, postąpiła ku Turkowi i zawołała po turecku:

— Kłamiesz poganinie! Dokąd mój ojciec broni Wiednia, dokąd wy go nie zdobędziecie.

— Ho, ho! — odparł Turek — dzielna ta niewierna dziewczyna i ładna na Ałłaha! i zna język prawowiernych, warta więc zajęć w haremie miejsce poczesne. Zawołajcie mi tu starą Zairę.

Na te słowa odwaga opuściła biedną dziewczynę, spuściła smutnie głowę, bo i cóż mogła sama wśród tłumy obcych. Stała więc przygnębiona, a tymczasem Kara Mustafa, bo on sam to był owym dostojnikiem, mówił dalej:

— Na Ałłaha, dziewczyna śliczna, jak hurysa, ale nie łudź się ty germańska córo, że ojciec twój oprze się naszej potędze. Może być, że dokąd on żyje, Wiedeń nie wpadnie w ręce wyznawców wielkiego proroka, ale możemy go wysadzić w powietrze razem z waszą stolicą.

Dziewczyna milczała przygnębiona. W tej chwili podniesiono zasłonę, a do komnaty weszła kobieta z twarzą pomarszczoną i zwiędłą. Ręce miała skrzyżowane na piersiach, a zbliżywszy się do miejsca, w którym znajdował się Kara Mustafa, padła na twarz i dopiero na rozkaz jego podniosła się z ziemi i stanęła w kornej postawie.

— Zairo, weźmiesz tę białą dziewczynę i strzedz mi jej będziesz jak oka w głowie. Jeżeli jej się co złego stanie, odpowiesz mi za nią, jeżeli byś jej uciec dozwoliła, wtedy biada i tobie i wszystkim, co jej strzedz będą. Odejdz!

— Rzekłeś panie — odparła kobieta, chyląc się aż do ziemi, a obróciwszy się do Joanny, dodała: — spełnij rozkaz pana naszego i pójdz za mną.

Joanna nie opierała się, bo choć ta stara przestraszona, pokorna kobieta, wstrętną jej się wydawała, to jednak wołała już być w jej towarzystwie, aniżeli wśród tych Turków, którzy ją obrzucali obrażającymi spojrzeniami. Wyszła więc z pośród rozstępujących się szeregów wojowników i służby, a za nią wyszła straż, która ją oddał strzedz miała.

W głębi tureckiego obozu, w jednym z przepysznych namiotów, oparta o wezgłowie wschodniej sofy, klęczała Joanna. Twarz ukryła w dłoniach i modliła się gorąco, bo modlitwa była teraz jedyną jej ulgą i pociechą.

Klęczała tak jedną i drugą godzinę i wsłuchiwała się w odgłosy walki. A ile razy huk armatni wstrząsał powietrze, ile razy potężne zmieszane okrzyki bojów lub tryumfów dochodziły jej uszu, tyle razy głośniejsze słowa modlitwy wymawiała jej usta.

O parę kroków za nią stała Turczynka, pod której opiekę została oddana Joanna i wpatrywała się w nią dziwnym wzrokiem; przebiegały w nim współczucie i smutek jakiś cichy i ciekawość. Długo stała milcząc, ale gdy widziała, że Joanna ciągle jest pogrążona w modlitwie, przystąpiła do niej, położyła jej lekko rękę na ramieniu i rzekła:

— Wstań dziecko.

— Zostaw mnie w spokoju — odparło dziewczę — tyle mojego szczęścia, ile go mam w chwilach modlitwy.

— Ależ klęczysz tak od świtu słońca, a już południe minęło. Wielki wezyr, niech Ałłach ma go w opiece, kazał mi codzień ukąpać twoje członki w woniejącej wodzie, kazał mi czesać twoje złote włosy i pilnować, aby żyły nie ściły blasku twych jasnych oczu.

— I dla czegoż to wielkiemu wezyrowi tak wiele zależy na moich włosach i oczach?

— Czeka cię wielkie szczęście, chrześcijańsko dziewico. Kara Mustafa postanowił wraz z najdroższymi łupami posłać cię swojemu panu samemu sultanowi. Jesteś bardzo piękną, umiesz władać mową wyznawców proroka; najjaśniejszy sultan, niech będzie rozsta-

wione imię jego na całym świecie, może cię zaszczycić godnością małżonki swojej. Czekaj cię wielkie szczęście!

— Nie chcę tego szczęścia, wolę niewolę najcięższą, wolę nosić wodę i pić bydło, wolę pracować i dźwigać ciężary, aniżeli być żoną waszego sułtana.

Stara Zaira spojrzała na nią przerażona, ogładnęła się trwożnie do koła, czy kto nie słyszy zachwałych słów niewolnicy, za które zasłużyła na chłostę, ale Joanna nie troszcząc się o nic, tak dalej przemówiła:

— Wiem ja dobrze, że cesarz wasz ma setki żon i bierze je, kiedy mu się podoba i odrzuca od siebie, gdy mu się sprzykrzą. Ja, córka dzielnego, wolnego rycerza, wnuka wielkich, śmiałych wojowników nie będę nigdy żoną poganina, zabiję się raczej wprzód, a Bóg mi tę zbrodnię przebaczy.

— Dziecię moje, — rzekła stara, widząc, że oporu Joanny nie przełamie gniewem — pozwól, niech uczeszę twe złote włosy.

— Nie chcę, nie chcę, niech będą splątane, niech wypadną wszystkie.

— Więc chcesz, aby mnie chłosta spotkała, bo wielki pan nasz rozkazał mnie ćwiczyć batami, jeżeli byś nie była usłużoną, jak należy.

— Jeżeli tak, to chesz, nie chcę, aby kto cierpiał z mojej przyczyny.

To mówiąc, usiadła na niskim tureckim stoliku, ale w tej chwili gwałtowny huk rozdarł powietrze i zdawało się, że ziemia zadrżała w swej podstawie.

Joanna krzyknęła przeraźliwie, przecucie jej mówiło, że tam w oblężonym Wiedniu dzieje się coś strasznego.

— Mój ojciec! mój bracie! — zawołała — czemuż nie jestem z wami!

Zaira wybiegła z namiotu; mijały długie chwile, a ona nie wracała. Joanna była sama jedna, myśli o ucieczce strzeliła jej do głowy jak błyskawica; szybko zgarnęła rozpущone włosy, owinęła je dokoła głowy i podeszła ku zasłonie, którą wychodziła i wchodziła zwyczajnie służba. Ale zaledwie podniosła makatę, przekonała się, że choć Zaira się oddaliła, inni czuwają nad nią, bo w sąsiedniej przegrodzie namiotu, była straż liczna i uzbrojona.

Jeden ze strażników ujrzawszy głowę Joanny, przystąpił do niej i zapytał, czego żąda.

— Gdzie jest Zaira?

— Zaraz wróci — zabrzmiała odpowiedź.

Joanna spuściła zasłonę, cofnęła się w głąb swojej komnaty, usiadła na niskiej sofie i pograżyła się w smutnych myślach.

Niebawem wróciła Zaira i opowiedziała jej, że podkopy tureckie wysadziły w powietrze znowu jakiś wiedeński klasztor i że schwytano posłańców wysłanych przez oblężonych i przyprowadzono ich przed sułtana.

— Czy nie mogłabym ich zobaczyć? — zawołała Joanna.

— Są uwięzieni.

— Gdzie?

— W sąsiednim namiocie.

— Zairo, droga moja, ukochana, zrób tak, abym ich mogła zobaczyć.

— To trudno, pan nasz potężny ukarałby mnie z pewnością, za ten krok.

— Zważ tylko — prosiła Joanna — że żadnej szkody nikt nie poniesie, jeżeli ja otoczona strażą, za-

mienię kilka wyrazów z więźniami, którzy są także pilnie strzeżeni.

— Boję się — rzekła Zaira.

Joanna upadła na kolana przed starą Turczynką.

— Jeżeli pamięć twoich rodziców jest ci drogą, to ułatw mi widzenie się z tymi jeńcami. Zmiłuj się oni przychodzą ztamtąd, gdzie jest mój ojciec i brat. Nie będę długo z nimi mówiła, dowiem się tylko, czy żyją i wrócę znowu.

To rzekłszy, objęła nogi Turczynki i całowała jej stopy.

Tymczasem stara myślała: Jeżeli Joanna zostanie naprawdę żoną sułtana, wartoby zaskarbić sobie jej łaskę, zwłaszcza, że obecnie nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. Wszyscy wiedzą, że Kara Mustafa powierzył jej opiece niemiecką parnę, więc zaprowadził ją pod strażą do namiotu, gdzie są więźniowie. Tam pozwoli jej pomówić z nimi, a potem odprowadzi ją znowu. Strażnikom czuwającym nad uwięzionymi powie, że przyprowadza Joannę z polecenia wielkiego wezyra i nikt nie dowie się o tajemnej wycieczce.

Ułożywszy ten plan w myśli, rzekła:

— Spróbuję ułatwić ci widzenie się z więźniami, ale musisz zaczekać do zmroku.

Joanna raz jeszcze ucałowała nogi Zairy i rzekła:

— Będę czekać cierpliwie.

Turczynka wyszła, a dla Joanny zaczęły się chwile gorączkowego niepokoju i oczekiwania. Jakkolwiek wiedziała, że nie usłyszy pomyślnych wieści, to czuła jakąś ogromną radość na samą myśl, że ujrzy ludzi, którzy jeszcze dziś rano byli we Wiedniu i widzieli jej ojca.

Wśród takiego niepokoju i oczekiwania upłynęła jej reszta dnia. Gdy już zapadł zmrok, weszła do jej komnaty Zaira, podała jej ubranie, jakie zwykły nosić tureckie niewiasty służebne i rzekła cicho:

— Ubierz się w te szaty, aby cię nie poznano.

Joanna nie dała sobie powtórzyć dwa razy rozkazu, przebrała się szybko, zarzuciła na twarz zasłonę i wyszła z Zairą innem wejściem. Nikt nie zwrócił na nie uwagi, przeszły około kilku namiotów i weszły do jednego z nich. Tu stara Turczynka poszeptala coś ze strażnikami, którzy przepuścili je do wnętrza, ale stanęli rzędem przed drzwiami na straży.

Joanna wszedłszy, ujrzała trzech Niemców okutych w kajdany, którzy na wpół leżeli, na wpół siedzieli na ziemi.

— Witam was w imię Boga! — rzekła po niemiecku i odrzuciła zasłonę z twarzy.

Więźniowie zerwali się zdumieni.

— Jestem córką waszego komendanta — mówiła dalej Joanna — powiedzcie mi, czy ojciec mój i brat żyją?

— Żyją — odparł z uszanowaniem najstarszy, który wyglądał na oficera.

— Bogu niech będą dzięki, a teraz opowiedzcie mi, co się dzieje w Wiedniu.

— Źle, źle bardzo — odrzekł zapytany.

— Opowiedzcie mi wszystko, nie tajcie nic. Ja już tyle dni spędziłam w niewoli, że umiem znieść najsroższe ciosy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ORZEŁ.

Orzeł należy do rzędu ptaków drapieżnych do rodziny sokołowatych. Ptaki te obdarzone są dziobem nieco krótszym od głowy, prostym, na końcu haczykowato zagiętym. Nogi orła potężne, po same palce, lub do połowy skoku upierzone, z silnymi, mocno zakrzywionymi i ostrymi szponami; skrzydła długie, tak, że gdy je rozłoży, szerokość ich zwana sięgiem, dochodzi nieraz do dziesięciu stóp. Ogon ma zwykle zaokrąglony, wierzch głowy i kark okryty długimi, wąskimi piórami. Ptaki te znajdują się na całej kuli ziemskiej. Większe gatunki są najdrapieżniejsze najzuchwalsze, odznaczają się wspaniałą postacią i bystrością wzroku, z kądem poszło nazwanie orła królem ptaków. Wszystkie orły żyją samotnie lub parami w okolicach lesistych równin i gór. Zwykle budują gniazda na nieprzystępnych skałach, po nad przepaściami, aby zabezpieczyć dzieci swe od napaści drapieżnych zwierząt. Gniazdo orła jest poprostu powalą, złożoną z grubych gałęzi, nie zbyt misternie połączonych ze sobą cienkimi gałązkami, liściami lub sitowiem. Budowa gniazda jest tak mocna, że najsilniejszym burzom opierać się może, w takim to gnieździe wychowuje się troje lub czworo orląt. Orląta są bardzo żarłoczne, dla nasycenia ich rodzice ciągle muszą prowadzić łowy. W razie nie znalezienia żywej zdobyczy orły żywią się padliną. Chwytają one ptactwo domowe, kury, indyki, a nawet zające. Orzeł, bystrym swoim wzrokiem dostrzega zdobycz z wyżyn niedościgłym dla oka ludzkiego, a że ma lot nadzwyczaj szybki, w kilku sekundach spada na ofiarę i unosi ją do swojej siedziby. Jeśli schwyta zającą, to dla ulżenia sobie ciężaru rozrywa mu brzuch, wyrzuca wnętrzności i dopiero unosi ze sobą. Siła orła jest tak olbrzymia, że walczyć może w powietrzu z wichrem i burzą; najsilniejszy wiatr nie powstrzyma jego lotu. Orły są nadzwyczaj wytrwałe na głód.

Kiedy orląta pądosną o tyle, że same mogą sobie szukać pokarmu, rodzice postępują z nimi nielitościwie, gdyż wyrzucają je z gniazda; ale też przedtem starają się je zahartować na wszelkiego rodzaju niewygody i niebezpieczeństwa. O ile bowiem wszystkie ptaki budują gniazda w ten sposób, aby dzieci chronić od soty i szkodliwych wpływów zewnętrznych, orły przeciwnie, budują je niemal niedbale, nie starając się o zasłonięcie piskląt od wichru i niepogody. Instynktem więc odgadują, co dla nich w przyszłości będzie korzystniejszym, bo nie można powiedzieć, aby nie kochały swych dzieci.

Orły z natury są podejrzliwe, dla tego też człowiekowi trudno je podejść. Wieśniacy w górach Pirenejskich pną się na skały i orle jeża z gniazda wybierają. Niekiedy łapią orły w żelaza zastawione na lisy i inne drapieżne zwierzęta. Orły żyją bardzo długo. Orląta oswajają się łatwo, chociaż zawsze są do pewnego stopnia dzikie; karmią je chlebem, węzami i jaszczurkami.

Najokazalszym gatunkiem tego rodzaju jest orzeł królewski zamieszkujący wschodnią i północną Europę; gniazda zakłada na wyniosłych górach. U nas znane są cztery gatunki orłów: Orzeł właściwy największy z krajowych, barwy brunatnej lub rdzawej, z popielatym ogonem; Orlik, jest on słabszej budowy, dłuższymi nogami; głównem jego pożywieniem są węże. Orzeł włochaty, najmniejszy i Bielik tak duży jak orzeł właściwy; żywi się głównie rybami.

KAWALEK CHLEBA.

Młody i żywy Stefan był synem leśniczego w dobrach prywatnych Dębicy. Raz wypadło staremu ojcu jego odnieść pieniądze do dworu, które za sprzedane w lesie sążnie zebrał, a które co Sobota osobiście dziedzicowi dostarczał. Do wsi, w której dziedzic mieszkał, była dobra mila i to przez górzystą okolicę, zarosłą gęstym lasem. Stary leśniczy niedawno zwicznął nogę na polowaniu, więc mówi:

— Oj ciężko mi to będzie ciężko; ale cóż robić? kazano, trzeba iść.

Słyszac to Stefan, przybiegł do ojca, a pocałowawszy go w rękę, rzecze:

— Mój tatuniu, a toć ja mam lat szesnaście, zdrowe nogi; daj mi list i pieniądze, a za dwie godziny już będę z powrotem. Znam drogę, niczego się boję; a zresztą wezmę tę malutką fuzyjkę ojca i przebiegnę sobie do dworu.

— Kiedy tak, — mówi ojciec — to idź z Panem Bogiem. Tylko pamiętaj oddać list samemu dziedzicowi, bo pieniędzy jest dosyć, więc pilnuj, żebyś Boże uchwaj nie zgubił gdzie w drodze. A przy tem pan zawsze mi dawał parę złotych za fatygę, więc i ciebie gratka nie ominie.

Ojciec jak najlepiej opowiedział Stefanowi drogę, poczem syn wzięwszy fuzyję na plecy i torbę, wesóło ucałował rękę ojca i puścił się ku dworowi.

Przybywszy do wsi wskazanej, zapytał się lokaja o samego pana, a gdy go wpuszczono do pokoju, oddał mu list wraz z pieniędzmi. Nieszczęście chciało, że dziedzic właśnie miał gości, i Stefan zastał go grającym w karty; czy więc nie miał czasu, czy też zapominał, dość, że przewidziana od leśniczego gratka minęła Stefana, bo dawszy mu kwitek na odebrane pieniądze, przemówił:

— Dobrze chłopcze, dobrze, możesz sobie odejść.

Zasmucił się tem Stefan, bo biedak był głodny i strudzony; szedł więc ze spuszczoną głową przez dziedziniec, gdy spotkała go kucharka dworska wracająca z warzywem do kuchni. Litościwa była to kobieta; więc poznawszy z miny chłopaka, że głodny, zaprosiła do kuchni i uraczyła czem mogła.

— Nie miej żalu do naszego pana, — rzekła mu gdy Stefan zdjawszy fuzyję i torbę, usiadł sobie przy stoliku w kuchni. — Widzisz, on nie myśli o takich rzeczach, bo ma więcej na głowie, ale nigdy się nie gniewa, gdy my sami co ludziom damy.

Podjadłszy sobie dobrze, Stefan podziękował kucharce, wesóło znów puścił się ku domowi. Ledwie atoli uszedł kilka set kroków, gdy spostrzegł w lesie między starymi dębami żywo skaczącą wiewiórkę. Zdało mu się, że młoda, więc dalejże gonić, dalejże ploszyć ją z drzewa na drzewo, i tak dalej w las biegł za nią, aż wreszcie zabłądził. Ot źle, pomyślał sobie, i porzuciwszy wiewiórkę, zaczął szukać drogi. Ale nie to tak łatwo w wielkich lasach i to jeszcze nieznajomemu trafić do miejsca, z kądem się wyszło. Chodził więc dzień cały, noc zapadła o on zmęczony, spragniony, to w tę to w ową stronę biegł i wracał się i skręcał, aż pełen strachu i trudu schował się między niskie krzewiny i zasnął. Sen jego był niespokojny; skoro więc pierwszy brzask pojawił się na niebie, zerwał się z miejsca, krzyczał, płakał, wołał, biegając tu i owdzie; lecz wszystko było napróżno. Rozpacz jego i przestrach powiększyły się jeszcze więcej, gdy koło

południa spostrzegł stado pierzchających jeleni, a nawet dzika z ogromnymi kłami, przed którym zatrzymując oddech, ledwo że ukryć się na drzewie potrafił. Nareszcie tak był zmęczony i głodny, że nie mogąc iść dalej ani też wołać o pomoc, upadł na ziemię i z łzami prosił Boga o ratunek. Zjrzał potem do torby, czy nie znajdzie jakich okruszynek z chleba, który zabrał z domu na drogę i ten już spożył; lecz jakże się ucieszył i zdziwił, gdy poczuł pod ręką kilka gruszek i porządny kawałek chleba.

— To pewnie, — zawołał uradowany — pewnie to dobra kucharka do mojej torby włożyła.

Dziękował więc Bogu i przyrzekł uroczyscie, że zawsze dla biednych, osobliwie dla podróżnych będzie ludzkim i miłosiernym; postanowił sobie także, iż jeżeli się kiedy majątku dorobi, pocziwą kucharkę Rozalię sowicie wynagrodzi.

— Ona bowiem, — mówił do siebie — po Bogu najprzód uratowała mi życie. Bez tego kawałka chleba umarłbym pewno z głodu w tej puszczy.

Stefan pokrzepiony, wstał i z większą otuchą zaczął szukać drogi. Jakoż wkrótce usłyszał łoskot siekiery; za tym głosem przybył na miejsce, gdzie sążnie rąbano, a ludzie pokazali mu już drogę do domu. Pózwrot jego ucieszył bardzo rodziców, którzy widząc, że nie wraca dzień cały i noc całą, w okropnej zostawali trwodze.

— Widzisz Stefanie, — rzekł ojciec, — jak to źle robi człowiek, że daje się uwodzić pokusie i schodzi z prawej drogi. Dla marnej wiewiórki, której nawet nie dostałeś, mogłeś zginąć w lesie i umrzeć z głodu. Tej drodze przez las podobną jest droga naszego żywota: jak w boru owa zdradna wiewiórka, tak i w życiu niejedna żądza mami człowieka i z drogi cnoty sprowadza. A jako ja tobie, nimeś odziedziczył, wskazałem pewną ścieżkę, tak i Pan Bóg w przykazaniach swoich wskazuje nam nieomylną drogę w ziemskiej pielgrzymce. Pamiętaj więc na to i nie daj się uwieść żadnej pokusie. Ani na prawo, ani na lewo nie schodź z prostej drogi; inaczej mógłbyś łatwo pobrać i nie dojść do mieszkania wiecznego, jakie nam Ojciec Niebieski u siebie zgotował.

Stefan wzrastając w lata, robił się też i coraz lepszym. Dobry strzelec, przy tem wierny, pracowity w służbie, z każdym dobrze się obchodził. Całe jego postępowanie było bez nagany. Ale jak sobie postanowił, tak szczególniejszą litość i szcudroblliwość okazywał dla biednych wędrowców. Nie zapominał o Rozalii, poszedł umyślnie, żeby jej podziękować; lecz ona już porzuciła służbę we dworze, i nikt nie wiedział, co się z nią dzieje i gdzie się obraca.

W kilka lat potem Stefan się ożenił i dostał korzystne miejsce za leśniczego. Raz opowiadając żonie dawne przygody, wspominał także o dobrej Rozalii, która mu życie ocaliła. Nie mogąc jej odpłacić tego dobrodziejstwa, postanowili oboje przenieść swą wdzięczność na każdego z ubogich, którzyby ich wsparcia lub pomocy potrzebowali. A niebrakło im do tego sposobności, bo mieli na to i mieszkali koło samego gościńca.

Pewnego dnia wśród letniego upału poszła sobie pani leśniczowa ze szklanką po wodę do pobliskiego źródła. Na ławeczce z darni, którą Stefan dla wygody podróżnych urządził, zastała nieznaną, schludnie ubraną kobietę. Widać było, że bardzo znużona, bo wzdychała ciężko, a koszyk i laskę położyła obok siebie na ziemi. Leśniczowa ujęła smutną postawą po-

dróżnej, przywitała ją uprzejmie, i od tego do tego przy rozmowie, zaprosiła ją do swego domu, poczęstowała, ośmielając swoją dobrocią i uprzejmością.

Zapytana o cel podróży, biedna kobieta wyznała, że jest żoną ubogiego kowala o dwanaście mil ztąd, że mąż jej niedawno chorował bardzo, że ta choroba zniszczyła całą ich zamożność, że przed tygodniem ostatnia krowa im padła, i że mając o kilkanaście mil mieszkającego i zamożnego brata, udała się do niego o pomoc i pożyczkę na kupno innej krowy.

— No, i jakże, brat dopomógł? — spytała żywo zajęta jej opowiadaniem leśniczowa.

— Brat był gotów pożyczyć mi ze dwieście złotych na krowę, ale bratowa nie chciała na to przystać, — odrzekła z płaczem kobieta. — Owszem zwymyślała mnie, że mi wstyd zrobiła familii, idąc za biednego kowala. Tak więc dostawszy kilka złotych pokryjomu od brata, wracam do męża i dzieci; nie wiem, czy mi tego na drogę wystarczy. Ale choć mi brat nie dał więcej, ja nie mam mu tego za złe; co mógł, to dał. Żal mi go, żal co prawda, — mówiła dalej, — a'e więcej mi żal biednego męża i dzieci, którzy gorzko zapłaczą, gdy wrócę z próżnemi rekoma.

Tymczasem powrócił leśniczy z boru, łaskawie przywitał obcą kobietę, a żona zaraz mu opowiedziała, jak ją spotkała przy źródle i jakie biedaczka ma kłopoty.

— Dobrze, moja Zosiu, dobrze, — mówił leśniczy, — żeś przyjęła tę kobietę, czem Bóg dał; miłosierdzie dla obcych i podróżnych jest jednym z najświętszych obowiązków. — Potem obróciwszy się do przybyłej, rzekł: — Ja szczególniejszą mam jeszcze przyczynę do litości nad bliźniemi.

To powiedziawszy, usiadł przy stole, kazał dać wieczerzę i zaczął nieznaną opowiadać o tem, jak to Rozalia kucharka ocaliła go od głodnej śmierci, kładąc kawałek chleba do jego torby.

— O, mój Boże, — zawołała nieznaną. — A też to ja byłem ową kucharką. Na imię mi Rozalia, panu na imię Stefan, prawda? A pański ojciec był leśniczym w Dębickich dobrach. Mogę panu powiedzieć nawet, com wtenczas dała mu jeść w kuchni: barszczyku talerz z kartoflami, kawałek schabu ze śliwkami; a torbę miał pan z borsuka i na niej był przypięty jeleń malutki z mosiądzu.

Pamiętam, pamiętam, jakżeś pan narzekał na dziedzica, a ja go broniłam, mówiąc, że on daleko lepszy, niż się wydaje. O mój mocny Boże, ktoby się też spodziewał, że ten kawałek chleba, tak panu będzie potrzebny. Myślałam sobie: młody, zdrowy, a nuż mu się w drodze jeść zachce... włożę do torby i włożyłam, a i trzy gruszki, prawda? a i w rękę mię pan pocałował, chciałem się wzbraniała.

— Tak, tak, moja pocziwa Rozalio, pocałowałem i teraz całuję, — zawołał uradowany nad wszystko leśniczy, uściskawszy ogniste poczerwiałą rękę Rozalii. — Zono, Zosiu, co masz najlepszego, daj na stół. Bogu niech będą dzięki, żeś was jeszcze raz w tem życiu obaczył. Ja was zaraz poznałem, jak tylko wszedłem do pokoju, ale myślę sobie: tyle upłynęło, może to nie Rozalia, więc opowiem moje zdanie i akurat zgadłem.

Rozalię tedy przyjmowano, jak tylko można najlepiej; koniecznie Stefan chciał, żeby na kilka dni u nich pozostała, lecz ona nie chciała i nie chciała, mówiąc, że jej pilno do domu.

— O! to rzecz najmniejsza, przenocujcie Rozalio, a jutro zapręgę do wózka i odwieżę was tak daleko, jak tylko siły koniowi wystarczą. Gdyby nie rozkaz hrabiego, abym się pojutrze stawiał we dworze, do samego domu odwiózłbym was z ochotą.

Nazajutrz przed samym odjazdem żona leśniczego do koszyka Rozalii nakładła różnych zapasów na drogę i upominków dla dzieci, a podając jej duży bochenek chleba ubrany w kwiaty i gruszki, rzekła:

— Wyście kiedyś mojemu mężowi kawałkiem chleba uratowali życie, niechże i ten chleb przyniesie wam tyle szczęścia, ile my go dziś z łaski waszej używamy.

Rozalia ze łzami w oczach podziękowała za gościnność i życzliwość, chleb zabrała nietknięty do domu. A nie był to zwyczajny bochenek, ale z najpiękniejszej maki, duży, wystrojony cukrami i z napisem z perełek na środku: „Wdzięczność”.

Stefan odwiózł ją coś ze sześć mil, a gdy wieczór się żegnali, uściśnął ją najserdeczniej, obiecując, że wkrótce do nich z żoną przyjedzie.

Rozalia szła dalej wesolo, a zbliżając się do swej chaty, ujrzała dwoje biegnących ku sobie dzieci, które poznawszy matkę, rzuciły się w jej objęcia, a potem do koszyka.

— Czekajcie, — odrzekła matka, — aż do domu przyjdziemy; nie trzeba być tak ciekawymi i łakomymi.

Na progu przyjął mąż wracającą. Weszli wszyscy do izby. Matka najprzód opowiedziała, jak się bratowa nieludźko z nią obeszła, i jako żadnych nie przynosi pieniędzy. Ta smutna wiadomość bardzo męża zmartwiła. Już go nawet łaskawe przyjęcie, jakiego Rozalia od leśniczostwa doznała, rozweselić nie mogło.

Matka tymczasem dobyte chleb z koszyka.

Dzieci na widok tak pięknie ustrojonego chleba zapomniały o wszelkiem strapieniu. Ojciec atoli mając łzy w oczach, rzekł:

— Dobry i chleb, ale zkąd teraz dostać pieniędzy na krowę?

Wtem matka krając chleb dla dziatwy, mocno się zdziwiła, bo nóż utknął we środku i ciasto nie dało się rozkroić.

— A to co? — rzekła zdumiona. — To jakiś osobliwszy bochenek, być może, iż kawał drewna wpadł przypadkiem do ciasta, na co przy pieczeniu nie zważano.

Rozłamała więc z ciekawością bochenek, a tu brzęk, brzęk, sypią się talary jeden za drugim. Dobra matka teraz taką uczuła radość, jak niedys Stefan, gdy niespodzianie znalazł kawałek chleba w torbie.

— O Boże kochany, — mówiła rozczulona, — teraz rozumiem! Zapewne leśniczy kazał żonie te talary włożyć do ciasta, abyśmy sobie krowę kupili i ratowali się od biedy.

Chłopczyk pozbiierał pieniądze i naliczył talarów trzydzieści.

— O! za to będziemy mieli piękną krowę, nie prawda mamuniu?

— I znowu dostaniemy chleba z masłem i mleka, — zawołała dziewczynka, z radości klaskając w ręce.

Ojciec zdjawszy czapkę z głowy, dziękował Bogu ze łzami za Jego świętą opatrność; matka i dzieci też samo uczyniły.

— Ow kawałek chleba, — rzekł ojciec, — jakiś dała Stefanowi, stokrotnie nam teraz został nagrodzony.

— To prawda, — odrzekła matka. — Każdy też datek choćby najmniejszy, lecz w miłości bliźniemu ofiarowany, daleko większą w niebie nagrodę odbierze.

— O dzieci, — rzekł ojciec nareszcie, — bądźmy miłosiernymi, a i dla nas będą miłosierni.

ŻYWIOT ŚWIĘTEGO WOJCIECHA, APOSTOŁA I MĘCZENNIAK CHRYSTUSOWEGO.

(Ciąg dalszy.)

Pięć lat pracował Biskup gorliwie, ale ze smutkiem przekonywał się, że jego gorliwe starania były daremne. Panowały jeszcze w Czechach liczne zabobony pogańskie, nie szanowano postów, kwitnęło wielkie pijaństwo, liczni Czesi miewali po kilka żon, nie szanowano też dni świętych w ogóle panowało w kraju wielkie zepsucie.

Najwięcej martwiło Biskupa postępowanie możnego magnackiego rodu Werszowców, którzy trzęśli całemi Czechami. Nienawidzili oni rodu Stawników, a nawet nie podobało im się, że członek tej zasiadł na stolicy biskupiej. Św. Wojciech, potępiając w kazaniach błędy, uraził także Werszowców, boć prawda w oczy kole. Zaczęli go za to lżyć a przeciw jego braciom knuli nieczne zamiary. Ci Werszowcy byli główną przyczyną, że apostołska praca Biskupa nie wydawała pożądaných owoców.

Wszystkie niemieckie, różne włoskie i słowiańskie kraje, tworzyły podówczas jedno wielkie cesarstwo niemieckie. Potężnymi panami więc bywali cesarze niemieccy, nie mało się też o kościół i sprawy duchowne troskali. A trafiło się właśnie około tego czasu, gdy Wojciech święty do Rzymu i Jerozolimy się wybierał, iż umarł cesarz niemiecki. Zasmucona śmiercią męża cesarzowa czyniła jałmużny i modły za jego duszę, a dowiedziawszy się, iż biskup prazki do miejsc świętych idzie, przesłała mu wiele srebra, aby także jałmużnami i modlitwą czczył pamięć zmarłego cesarza. I cóż Wojciech święty uczynił? Oto zaraz na drugi dzień wszystko srebro między ubogich rozdawszy, sam w pielgrzymkiem ubóstwie do Rzymu wyruszył, a przybywszy do tego miasta stanął niezwłocznie przed Ojcem świętym w te się skarżąc słowa:

— Ojczy, trzoda mi powierzona nie chce mię słuchać, w sercach ich, oddanych usługę czarta, nie czyni mowa moja żadnej na dobre zmiany; ich prawem jest rozkosz, a rzędem ciała pożydlivości.

A na to mu odrzekł Papież:

— Synu mój, jeżeli nie chcą iść w dobrem za tobą, uciekaj, abys sam w grzech nie popadł. Radzę ci, abyś się oddał cichym rozmyśleniom nad sobą i nad ich błędami, a czas i sposobność do rozmyślenia znajdziesz idąc między tych, którzy spędzają pobożny żywot na słodkich i błogich naukach.

Więc usłyszawszy to Wojciech święty, rozważał sobie postępek swój, a bacząc na mnogość grzechów między ludźmi, których opuścił, postanowił nie wrócić już do nich zupełnie, lecz oddać się pielgrzymce do grobu Chrystusa. Jakoż rozdał jeszcze resztę swego srebra ubogim, a kupiwszy osiołka do dźwigania najniezbędniejszych rzeczy, wraz z trzema braciškami wyruszył w drogę.

Idąc tak pobożni pielgrzymi, przyszedli do góry zwanej Kasynum, na której szczycie klasztor stał wielki. Wstrzymali więc swoje kroki, chcąc uczcić to miejsce, w którym niegdyś Benedykt święty jako opat zakonu Panu Bogu służył; i weszli do klasztoru, a modląc się, kilka dni na pobożnych ćwiczeniach spędzili. A gdy po kilku dniach Wojciech święty w dalszą podróż z towarzyszami swymi iść zamierzał, przyszedli do niego starsi zakonnicy mówiąc:

— Droga, którą ty pobożnością tknięty przedsięwzięłeś, daleką może być od drogi, która do żywota wiecznego prowadzi. Jako żeglarzom morze wzburzone, tak i błaganie się z miejsca na miejsce pielgrzymowi szkodliwym być może, gdyż w ogóle najmniej chwalebna jest ciągła zmiana miejsca i stanu. Stój na miejscu, a żyj cnotliwie w miłości Boga szukając rozkoszy, a tę samą będziesz miał w niebie zastępę, jak gdybyś na świętym Chrystusa był grobie: bo mówi święty Hieronim, że nie w Jeruzalem żyć, ale w Jeruzalem dobrym być chwalebno jest.

Wziął sobie do serca mowę tę Wojciech święty i rozważał nad nią, a przyrównawszy do niej słowa Ojca świętego, ujrzał, iż w pracowitem i cichem życiu zakonnem najwięcej może siebie w dobrem podnieść, będąc oraz pożytecznym ludziom a pełnym służby i modłów dla Boga. Jakoż znalazłszy przybywającego tam zakonnika Nila świętego, upadł mu do nóg, oddając się jak posłuszne dziecię pod jego rozkazy. A święty Nil nie odrzucił go, owszem przygarnął do serca swego, lecz rzekł zarazem:

— Jam jest Greczyn rodem, a nie umiejąc waszego języka, nie mogę ci, tak jako pragniesz, potrzebnych rad i pomocy udzielać. Wracaj więc do Rzymu, tam idź do klasztoru świętego Bonifacyusza, gdzie ujrawszy opata Leona powiedz mu, iżem cię jako nowego żołnierza Chrystusowego do niego odesłał.

Postąpił sobie Wojciech święty wedle rady Nila: wrócił do Rzymu i tam w klasztorze św. Bonifacyusza sukienkę zakonną oblokłszy, pozostał. A pokazała się tu niestałość umysłu jego trzech towarzyszy, z których tylko jeden, imieniem Gaudenty, stałe przy nim pozostał, a inni dwaj ulękłszy się pracy i klasztornej spokoju, uciekli.

Od tej chwili następuje żywot świętego Wojciecha jako cierpliwego i pobożnego zakonnika. Rozkazom starszego posłuszny, podejmował się on tu, jakkolwiek biskup, każdej, choćby niewiedzieć jak uciążliwej pracy. A nieraz, chcąc pokazać światu, iż żadna praca człowieka nie poniża, lecz owszem czem przykrzejsza tem więcej Bogu jest miłą; umiał Wojciech święty kuchnię klasztorną, miski i naczynia umywać, wodę nosić, idąc każdemu z radą i posługą. Lecz pracując rękoma, nie unikał też Wojciech uciążliwszej od wszystkich ręcznych robót pracy, nie unikał nauki i ćwiczenia się w piśmie świętem, wzbogacając w ten sposób umysł swój wszystkim, cokolwiek ku chwale Bożej wynaleźć się dało. Szepty z ust jego nikt nie usłyszał, a na karzące słowa starszego odpowiadał cierpliwością i głęboką pokorą, bo to są pierwsze cnoty u ludzi ku niebu idących.

W nagrodę za to życie pracowite, ciche i cnot pełne, zlewał też Pan Bóg łaskę swoją na świętego Wojciecha, dając mu nieraz cudowną moc uzdrawiania chorych. I oto trafiło się raz, iż przyszła do klasztoru szlachetnego rodu niewiasta, lecz jak cień blada i wątła, prosząc zakonników o modły za sobą, gdyż

przez siedm lat już nie mogła chleba pożywać dla dziwnej słabości żołądka, który jedzenia przyjmować nie chciał.

— Biedna ja — mówiła niewiasta płacząc — żadnej mi przyjemności ni wesela życie to nie sprawia, a Pan Bóg nie chce powołać duszy do siebie.

Wtedy przystąpił Wojciech święty, a kazawszy przynieść chleba, ukruszył z niego kawałek i przeżgnął go ręką i modlił się. A po chwili modlitwy podał go do ust chorej niewieście mówiąc:

— W imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, niewiasto, spożyj ten chleb. Świętej miłości Jego musisz oto uleść; i dla niej to rozkazuje ci przyjąć to skromne pożywienie.

A oto niewiasta przez siedm lat słaba spożyła podany przez Świętego chleb, zdrową się od tej chwili uczuwszy.

Lecz nad wszelkie władze i przymioty świętego Wojciecha większem było miłosierdzie jego, które ku wszystkim ludziom zawsze okazywał. Pewnego razu wyszedł był za miasto i spotkał bardzo ubogą wdowę, która nań wolała, iż jeść nie ma co i oblec się w co nie ma. Tedy Święty spoglądał po sobie, lecz nie miał nic do dania, więc rzecze:

— Przyjdź jutro w to miejsce a wspomogę cię. I odwrócił się i chciał iść dalej, ale uszedłszy ledwo kilka kroków tak sobie jął rozmyślać:

— A któż wie, czy ja jutro zostanę przy życiu? Niechaj jej dziś dobrze uczynię, abym ja sądu u Boga a ona szkody nie cierpiała.

I pomyślawszy to wrócił, zdjął sukienkę z siebie i dał ubogiej, ukazując tym przykładem, abyśmy się z dobrymi uczynkami nie ociągali, gdyż nie wiemy co jutro nas czeka.

Tak więc na pracy, modlitwie i na uczynkach dobrych schodził świętemu Wojciechowi dzień za dniem w murach klasztornych, schodził miesiąc za miesiącem i rok za rokiem i upłynęło wreszcie pięć lat. A przez ten cały czas zostawali mieszkańcy Pragi bez biskupa, jak trzoda bez pasterza; więc zaczęło się im przykrzyć, bo nie miał ich kto nawracać do dobrego, chroniąc od zemsty bożej, gdyż jak do trzody owiec, którą pasterz porzucił, łatwiej wilk się wkradnie: tak i między nich grzechy szkodliwe coraz łatwiejszy znajdowały przystęp. Widząc to arcybiskup z Moguncyi wysłał posłów do papieża, prosząc, aby nakazał biskupowi Wojciechowi wrócić na swoje miejsce do Pragi. Więc papież zwołał biskupów i innych przełożonych w duchowieństwie i tam roztrząsali rzecz tę, ażali Wojciech wrócić ma lub nie; i stanęło na tem, aby powrócić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozwiązanie zadań w Nr. 4:

Kot — Tok — Kto.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Andrzej Wojciechowski z Friedenshuty, Jan Badura z Rożdżonia.

Agenci,

którzy odwiedzają osoby prywatne, są poszukiwani, za wysoką prowizją, do 6 krotnie premiiowanych rolosów z drzewa i żaluzji. Oferty z poleceniami do B. Klement, fabryka żaluzji, Wilschellburg na Śląsku. (Założona r. 1878). (H.V.)

Włorna Róża.

Powieść przez Karola Miarkę. Cena egzempl. broszurow. 60 fen., z przesyłką 70 fen.

Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.